

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



O ciesz się dziewczę!..

Póki cię młodość szczęściem opromienia,
Póki cię wabi tego życia czar,
Póki dla ciebie światło niema cienia,
Póki nie stęsknisz do uludnych mar...

O ciesz się dziewczę, strój w kwiaty,
W stokrocie, róże, bławaty!..

Wśród chóru ptasząt, szmeru strumyka
I złotych słońca promieni fal,
Czystych twych uczuć dźwięczna muzyka
Płynie z wietrzykiem w nieznana dal,

O ciesz się dziewczę, strój w kwiaty
W stokrocie, róże, bławaty!..

Na szmaragdowym strojnych łąk kobiercu
Gdzie barwne ziola roznoszą woń,
Z uśmiechem na ustach, z weselem w sercu
Oczyrna ptaszki, motylki goń,

O ciesz się dziewczę, strój w kwiaty
W stokrocie, róże, bławaty!..

Więc póki pora, póki życia wiosna
Uroczych marzeń snuj czarowną nić.
Postać twa wdzięczna, promienna, radosna
Niech o aniołach drugim daje śnić.

O ciesz się dziewczę, strój w kwiaty
W stokrocie, róże, bławaty!..

M. D.



OSY.

Złośliwe te owady, kłują boleśnie tych, którzy zbliżą się do nich, choćby bez żadnych złych zamiarów, i same nieraz wypłoszone z gniazda z jakiegobądź powodu, rzucają się na przechodzącego człowieka, jak gdyby chciały wyrzucić na nim zemstę za doznany przestępstwo lub krzywdę.

To też mało kto ma ochotę badać obyczaje os, daleko więcej wiadomości mamy o ich krewniackich pszczołach. Pszczoły dają nam miód i wosk, z którego lepią plasty, czyli pokoiiki dla swych poczwerek, przyszłych pszczół i dla zapasów słodkiego pożywienia.

Osy również budują sobie gniazda, lecz nie z wosku tylko z drzewa spruchniałego, które przerabiają w swych pyszczkach na papkę; osa podziemna buduje sobie gniazda zwykle w opuszczonych norach lisich lub borsuczych, inny gatunek os buduje sobie siedlisko w szczelinach murów lub zawiesza gniazda na drzewach.

Przyrodnicy odmawiają osom średniej inteligencji, utrzymując, że u tych owadów działa jedynie instynkt; brak inteligencji okazuje się szczególnie przy zburzeniu gniazda, w obec czego osy tracą zupełnie głowę, rozlatują się na wszystkie strony, jedne wracają i starają się odbudować ruiny, inne błakają się, a ostatecznie gniazdo pozostaje opuszczone wraz z pozostałymi w niem poczwarkami.

Przyjrzyjmy się jednak normalnemu trybowi życia os.

Na jesieni, w ciągu miesiąca października, osy wymierają. Nie wszystkie jednak, w każdym gnieździe znajduje się jedna lub więcej wielkich os, które noszą nazwę królowych gniazda. Te zwykle już pod koniec września chowają się za korę drzew, w pruchnie dziupli i tym podobnych miejscach zacisznych i względnie ciepłych. Jeśli ich tam mróz nie dosięgnie, wtedy na wiosnę budzą się ze snu zimowego i natychmiast zabierają się do roboty; królowe to same zakładają fundament gniazda, zaczynając od dachu, który składa się naturalnie z papki drzewnej, z wyglądu bardzo podobnej do papieru. Pod tym dachem samotna królowa buduje rzędy komórek i do każdej z nich znosi jedno jajeczko. Komórki mają kształt sześciokątny, otwarte są od dołu, a jajeczko przyklepione jest w nim płynem do ścianek; po kilku dniach z jajek wykluwają się gąsienice; teraz przybywa królowej pracy, trzeba je karmić; po tygodniu mniej więcej, gąsienice dostatecznie już miodem nakarmione oprędują się cienką nitką, którą z siebie wysnuwają; wtedy zowiemy je poczwarkami; teraz już można o nich nie myśleć; wśród jedwabistej okrywy odbywa się cudowna prawdziwie przemiana wąkowatej, beznożnej gąsienicy na żółto brunatną osę z wydłużonym ciałem, sześcioma nóżkami i przezroczystymi skrzydłkami. Ta przemiana odbywa się w przeciągu dwóch do trzech tygodni.

Teraz dopiero gniazdo zaczyna się ożywiać. Świeżo wylęte osy, mniejsze od królowej zowią się pracownicami; bo też na nie spada teraz kłopot budowania gniazda i karmienie przybywających ciągle gąsienic. Rośnie budowa, która ma nieraz blisko łokieć średnicy.

Cóż teraz porabia królowa?

Napracowała się na wiosnę, założyła nową kolonię, to też teraz odpoczywa, nawet ją samą karmią robotnice, gdyż już nie wychodzi z gniazda. Między jajkami są i takie, z których wylęgają się przyszłe królowe, które znów w następnym roku założą nową kolonię.

Jeśli osy znajdują dostateczne pożywienie w okolicy, wtedy karmią poczwarki wyłącznie miodem, lecz jeśli przeciwnie sloty przeszkadzają im w zbieraniu słodkiego płynu, wtedy potrafią obchodzić się okrutnie z samymi poczwarkami; ot po prostu wyciągają z komórki jedną z nich zwykle największą i najtłuszczejszą, aby jej ciałem nakarmić inne zgłodniałe poczwarki.

Osy nie odznaczają się też wcale uniarkowaniem, gdy która dopadnie miodników kwiatowych, wtedy napawa się lepkiem sokiem aż do przesytu; to też jeśli w powrotnej drodze gniazda spotka zgłodniałą osę oddaje jej z wielką ochotą nadmiar pożywienia.

Badacze os, nie raz widzieli, jak jedna osa wypuszczała z pyszczki kropelki słodczy, które druga chwyciła, a obie strony były z tej czynności bardzoadowolone!

Największa ilość os znajduje się w gniazdach w miesiącu sierpniu i wrześniu; dzięki wielkiej obfitości składanych przez królowę jajek, kolonia liczyć może do dziesięciu tysięcy owadów.

Wszystko to jednak wymiera pod wpływem chłódów i deszczów jesiennych, a w zimie ginie wiele przyszłych założycielek gniazd.

Bo też pomyślmy, czy można by uchronić się od os, gdyby wszystkie królowe zimę przetrwały? Wszak każda z nich może znieść kilka tysięcy jajeczek, z których każde znów zamienia się w dokuczliwą dla nas osę.

A. M.

W pustyniach Australii.

PRZEZ

Władysława Umińskiego.

(Dalszy ciąg).

— Wiemy już, zaczął Dugan, iż wyprawa, złożona z sześciu uczonych, opuściła półtora roku temu Perth, prawdopodobnie z zamiarem przejścia w poprzek całego łądu, podobnie, jak to uczynił Giles; wiemy także, że oprócz Wilskiego, mineraloga, żaden z podróżników nie pozostał przy życiu. Szkoda, że najważniejszy dla nas opis owego basenu centralnego zupełnie pominęli; nie to jednak nie szkodzi, znajdziemy go niezawodnie po kilku dniach drogi. Wszystko składa się doskonale.

— Autor nie określa wcale miejsca, gdzie należy szukać dziennika podróży, odezwał się Abel.

— Niezawodnie dla tego, że obawiał się, aby go nie uprzedzono. Daleko bardziej dziwi mnie, że Wilski nie podaje geograficznej szerokości i długości tych interesujących okolic. Nie wiem jak sobie to wytłómaczyć.

— A ja wiem! zawołał Jerzy zacierając ręce.

— Ty? skąd znów? zagadnął Dugan, wzruszając ramionami.

— To jest domysłam się tylko... bąknął, stropiony nieco chłopiec.

— No jakże wytłómaczysz tę niedokładność?..

— Wilski mówi, że wyprawa odkryła w głębi łądu bogate placery złota i drogie kamieni, i że część złotego piasku zabrano z sobą na wielbłądach, nawet dużo, bo podróżnik wyraźnie obawia się, czy ciężar drogocennego metalu nie wycieńczy sił zwierząt.

— Tak, to prawda, ale to niema żadnego związku z szerokością i długością geograficzną.

— Zaraz, zaraz. Przedewszystkiem chcę zwrócić twoją uwagę wuj, że podróżnicy, jak sami powiadają, dali się skusić widokiem nieprzebranych skarbów i zapomnieli dla nich o celach naukowych wyprawy.

— Dostali gorączki złota... wtrącił stary Bob, kiwając głową.

Tak; ona opanowała ich do tego stopnia, że się im nawet nie chciało oznaczyć położenia geograficznego owego miejsca.

— Oj, paniczu, paniczu, przerwał Bob, kładąc swą żylastą rękę na ramieniu chłopca; zaraz znać, że pan ma dopiero osmnaście lat i że nie doświadczył nigdy, co to jest ta złoćta gorączka.

— Cóż to znaczy!?! nasrożył się Jerzy.

— He, he! gdyby tak panicz znalazł gdzie, dajmy na to, w pobliżu Little Downs, jaki tegi placer, zapewne zapomniałby też powiedzieć, gdzie się on znajduje... Znałem takiego, co się dał naszpikować nożami, i ani pisał. Taka tajemnica czasem warta tyle, co cała skóra — ha, ha, ha!

— Bob tłumaczy bardzo trafnie postępek Wilskiego i jego towarzyszy, rzekł Dugan. Nie oznaczyli oni w tej kartce położenia kopalni, bo mieli nadzieję powrócić jeszcze do niej i nabrać złota, które odkryli w pustyni. W dokumencie, znalezionym w Little Downs, tajemnica została ujawniona, lecz na nieszczęście, skreślony węglem plan, zatarł się i jest zupełnie prawie nieczytelny... Śmierć wyleczyła nieszczęśliwych z gorączki złota.

— I tak wiemy dosyć, rzekł Bob, uśmiechając się pod wąsem. Kto zna się choć trochę na pokładach złotodajnych, ten nie długo będzie szukał placerów.

— Mniejsza o placery, przerwał Dugan, ale czy tylko leżą one w obrębie basenu, który mnie głównie interesuje?..

— To się zobaczy.

— Wprzód trzeba się przeprawić przez góry, rzekł Tom.

— Więc kopalnia, podług twojego zdania, nie leży pomiędzy nimi.

— Pewnie że nie... Woda spłukuje piasek i złoto w doliny i niesie je na równiny korytami rzek i strumieni; założyłbym się, że placery znajdują się w jakim zagłębieniu, do którego nie trudno będzie trafić.

— Ha, a zatem w drogę! zawołał Dugan; ty Bobie idź naprzód i wyszukaj najdogodniejszego przejścia...

W chwilę potem karawana zapuściła się w głąb rozciągającego się przed nią ciemnego wąwozu i posuwała się ostrożnie krok za krokiem łóżyskiem strumyka, który płynął ze szmerem piaszczystym łóżyskiem.

Wbrew przewidywaniom Dugana, przeprawa, jakkolwiek bardzo uciążliwa, odbyła się szczęśliwie. Wprawdzie ludzie i wielbłądy pomęczeni kilkugodzinnym pochodem pomiędzy skałami, przebywaniem stromych zagłębień i wdrapywaniem się na urwiska, przegradzające wąwóz, ale jeszcze przed nocą przedostano się szczęśliwie na zachodnie pochyłości łańcucha.

Ściany granitowe rozstąpiły się nagle, ukazując pod różnym rozległym widok na ponurą, kamienistą pustynię, zasłaną, jak okiem sięgnąć, odłamami piaskowca, pozbawionego jak i góry, wszelkich śladów roślinności.

Ten smutny krajobraz, zamiast wzniecić smutek w sercach badaczy, obudził w nich otuchę; wiedzieli bowiem, że o kilka dni marszu znajduje się owa kraina nadzwyczajności, o której wspominał Wilski w swoim testamencie. Pustynię spodziewano się prędko przejść; wielbłądy, pomimo tylu trudów, były jeszcze zdrowe, wszyscy członkowie wyprawy czuli w sobie niespożytą energię, reszta zależała od Opatrzności.

Następnego dnia rozpoczęła się monotonna wędrówka przez kamienistą pustynię. Podróżni z mozołem stąpali po ziemi, najeżonej ostrymi skalistymi złomami, o które dromadery kaleczyły sobie nogi.

Rzecz dziwna, głązy te znikły stopniowo, a na ich miejsce występował rudawo żółty piasek, w pośród którego tu i owdzie wznosiły się wysokie na kilka metrów słupy.

W miarę tego, jak karawana oddalała się od gór i jak poziom pustyni obniżał się, słupy te spotykano coraz częściej; miały one fantastyczne kształty, to smukłe, niby filary lekkiej maurytańskiej świątyni, to poważne, regularnie ociosane, jak słupy gotyckie, to znów pochylone na podobieństwo wieży w Pizzie. Inne naśladowały dziwaczne ludzkie postacie, otulone w pofałdowane płaszcze, pnę drzew, złamanych siłą huraganu, olbrzymie, zastygłe nagle w chwili wybuchu,

gejzery; słowem oko dopatrzeć się tu mogło wszelkich możliwych form z trzech królestw przyrody.

Miejscami słupy występowały gromadnie, jeden obok drugiego i wtedy zdawało się podróżnikom, że są w ruinach wspaniałej, wzniesionej rękami cyklopów, budowli, sklepienie której runęło skutkiem jakiejś strasznej katastrofy. Gdzie indziej słupy wyrastały do sporych rozmiarów, i podobne były do stromo spadających wzgórz, o niedostępnych wierzchołkach.

Wszyscy członkowie wyprawy, nie wyłączając nawet Dugana, po raz pierwszy mieli sposobność oglądać ten kaprys przyrody. Jerzy wpadł w zachwyt i, zsiadłszy z wielbłąda, biegł od jednego filara do drugiego, aby się lepiej przypatrzeć.

— Znajdujemy się w zaczarowanej krainie, o której mówi Wilski! wołał; co to za wspaniały widok, taki las kamiennych drzew! Cudowne, śliczne! Ot, tam! czy widzicie? Wieżyczka! zupełnie taka sama, jak w kościele w Townsville! Albo tu na prawo, na przykład! Możnaby przysiąc, że to statua jakiego bożka, wykuta przez krajowców! Nerozumieniem, zład się tu wzięły te filary, przecież nikt ich nie stawiał...

— Są one niezmiernie interesujące dla geologa, mój chłopcze, rzekł Dugan. Trzeba ci wiedzieć, że podług niektórych uczonych, środek Australii zajmowało przed wiekami wielkie jezioro, do którego spływały rzeki z wyniosłości okalających łąd. Wody tych rzek, unosząc z sobą piasek i muł, wypłukany ze stoków górskich, powoli zapełniały nim łóżysko jeziora; po wielu tysiącach lat to ostatnie stało się bardzo płytkie i wyschło nareszcie zupełnie, pozostawiając obszerne pokłady piaskowca. Wody deszczowe, przenikając wierzchnie warstwy, tworzyły potoki, torujące sobie drogę pod ziemią, w łonie świeżo uformowanej skały, żłobiły kruzganki pod powierzchnią i podminowały ją z czasem do tego stopnia, że się zawałiła; wtedy wystąpiły słupy, które właśnie oglądamy. Wiatr uniósł gruzы sklepienia, zamieniwszy je poprzednio na drobny piasek, ziarenka którego, uderzając w pędzie o filary, wyrzeźbiły je w tak dziwaczne formy. Kiedyś te szczątki ulegną także działaniu wody i powietrza, a miejsce ich zajmą głązy bezładnie rozrzucone, jak u stóp łańcucha, który niedawno przebywaliśmy.

Grey, podróżując po północno-zachodniej Australii, widział znaczne przestrzenie; pokryte piaskowcowymi słupami. Największy z filarów znaleziono w samym środku łądu, mierzy on pięćdziesiąt metrów wysokości i nazywa się Chambers Pillar.

Członkowie wyprawy wysłuchali z zajęciem tych objaśnień uczonego i z większą jeszcze uwagą, aniżeli przedtem, zaczęli przypatrywać się oryginalnemu krajobrazowi, który rozciągał się przed ich oczyma.

Wypakowano aparat fotograficzny, zabrany w drogę, i dokonano zdjęć kilku bardziej malowniczych grup; klisze okazały się zupełnie zadawalniającymi nie tylko pod względem dokładności, ale i artystycznym.

Podróż w pośród takiego niepowszedniego otoczenia wydawała się mniej monotonna; różnaitość form mile oddziaływała na umysł, strudzony widokiem niezmiernych stepów, piaszczystych diun i obszarów, porośłych niezapomnianym skrubem.

I tutaj jednak, podobnie jak w górach, panowała martwota; krainy filarów nie zamieszkiwały ani kangury, ani wombaty, ani dzikie psy, ani różnobarwne, wrzaskliwe papugi, ani nawet niewybredne iguanasy, które można napotkać w zaroślach skrubu. Rzecz prosta, że i owadów zupełnie prawie brakowało, co fatalnie oddziaływało na humor zacnego doktora Halma; czasem tylko, bardzo rzadko, w pośród piasku, w cieniu jakiego słupa, naszemu entomologowi udało się wygrzebać jaki okaz chrząszczyka; zdobyć ta jednak nie opłacała trudów podróży. Ostatecznie Niemiec przyszedł do wniosku, że lepiej byłoby dlań, gdyby nie był się przylączył do wyprawy, która zwiedzała tak niegościnne i pustynne krainy.

Pogromcy dzikich zwierząt.

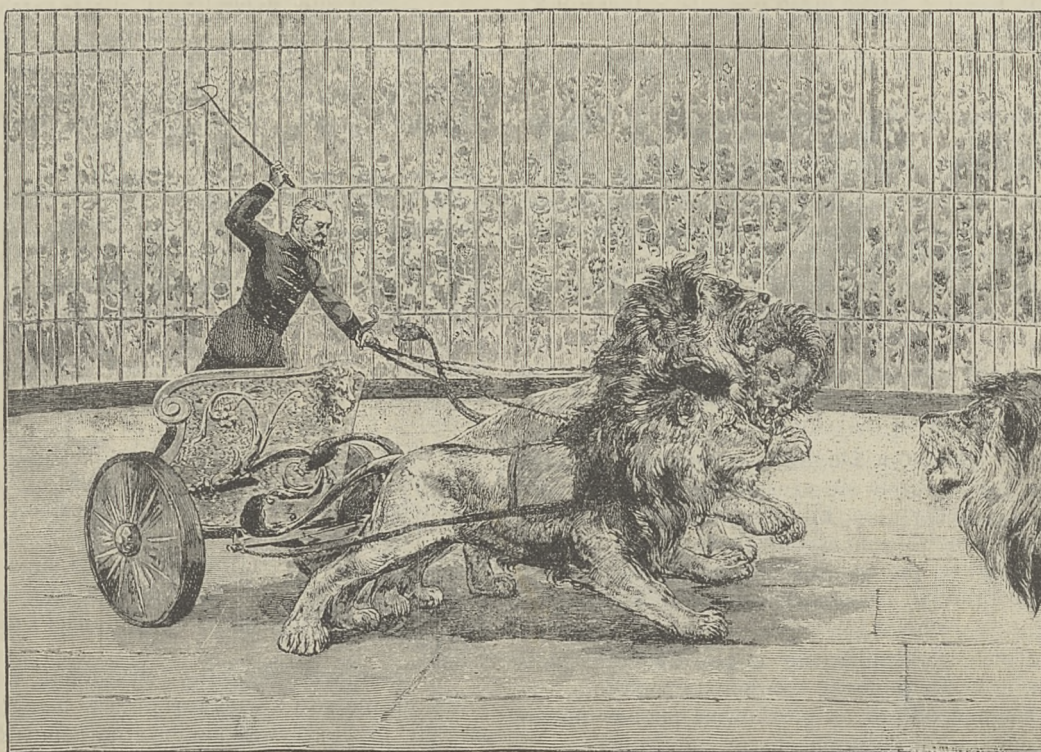
Rozum ludzki czyni człowieka władcą wszelkich stworzeń przewyższających go nawet siłą fizyczną. Ludy starożytne umiały już oswajać dzikie zwierzęta, aby następnie wyzyskać je dla zamierzonych celów. Oddawały im one w ten sposób wieloliczne usługi, jak np. słonie w czasie wojny, a zdarzało się nieraz, że pod wpływem roztropnego i łagodnego obejścia, okazywały pewne szlachetne instynkta.

Dowodem tego tygrysica Nerona, łaszczą się u stóp swej dawnej pani, niewolnicy Akte, skazanej za wyznawanie

przedstawień odtwarzają ryciny nasze. Na pierwszej z nich widzimy dwa lwy z najeżonemi grzywami, zaprzęgnięte do rzymskiego wozu i pogromcę ich, popędzającego prostym batem te straszliwe rumaki, na drugiej tygrysy jadące na rowerze. Można sobie wyobrazić ile trudów połączonych z niebezpieczeństwem kosztowała ta nauka. Cyrk Hagenbecka odbywał wędrowki po wszystkich znaczniejszych miastach Europy, a mówiono nawet, że miał zamiar odwiedzić Warszawę.

Posiada on prawdziwych mistrzów w sztuce tresowania zwierząt.

Widywano na dawanych przez niego przedstawieniach, zamknięte w jednej klatce, lwy, tygrysy, lamparty, hyeny, niedźwiedzie i małpy, nie tylko zachowujące się spokojnie,



Lwy zaprzężone do rzymskiego wozu.

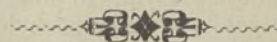
wiary chrześcijańskiej na pożarcie w cyrku przez dzikie zwierzęta.

Za dni dzisiejszych widzimy również nieraz oswojonych mieszkańców pustyni. Słynny władca Abisynii Teodoros, pokonany przed kilkunastu laty przez Anglików, posiadał dwa lwy, które towarzysząc mu wszędzie, były przedmiotem postrachu dla cudzoziemców, zwłaszcza, gdy w czasie uroczystego przyjęcia stały u stóp tronu.

Zdumiewające są czynności dzikich zwierząt, wyuczonych przez tak zwanych pogromców, którzy popisują się z nimi za pieniądze.

Słynnym jest w Europie z podobnych sztuk czworonożnych artystów hamburski cyrk Hagenbecka, którego próby

lecz nadto oddające sobie wzajemnie różne przysługi. Podziwiając wszakże te i tym podobne wyniki działalności ludzkiej inteligencji, żałować przychodzi, że na szlachetniejsze nie została użyta cele, niż chwilowa rozrywka tłumów, dręczeniem biednych zwierząt nauką połączoną z narażeniem własnego życia. Zazwyczaj, bowiem, po pewnym przeciągu czasu, pogromcy zwierząt giną od kłów i pazurów swych uczni, powracających w końcu do przytłumionej chwilowo pierwotnej dzikości swojej.



SYN MARNOTRAWNY

POWIEŚĆ

E. Jerlicza.

(Dalszy ciąg).

Na smutnej twarzy Lucyana zjawił się uśmiech.

— Nie, tego to już nie pamiętam.

Julcia chciała coś jeszcze mówić, gdy w drugim pokoju usłyszała kroki pana Rodowskiego, który wiedział już o rzeczy pozostawionych w pierwszym pokoju o przybyciu syna, a teraz ukazał się na progu.

Na widok ojca Lucyan podszedł ku niemu, pochylił się i pocałował go w rękę. Lecz pan Rodowski nie złożył pocałunku na czoło syna, nie przemówił do niego ani jednego serdecznego słowa, pozostał zimny, surowy, tłumiąc siłą woli wzruszenie, które mu przelotnie zadrgało na twarzy.

Julcia patrzyła to na ojca, to na brata i wielki ból ścisnął jej serce.

Pan Rodowski wziął na kolana małą Zochnę i rozmawiał z młodszymi dziećmi, a w jakiś czas później kazał Stasiowi przynieść tabliczkę i kajet i zaczął z nim odbywać lekcje matematyki, jak zwykle we wspólnym pokoju, gdyż starał się przyzwyczaić Stasia do tego, aby odrabiając lekcje nie zwracał uwagi na to, co się około niego dzieje, ze względu, że gdy później zostanie oddany do szkół, nie będzie miał na stancyi wśród licznych współkolegów ani tak zupełnej ciszy, ani spokoju, do czego gdyby nawykł w domu, utrudzałoby mu to łatwość nauki. Więc podczas, gdy Staś odbywał lekcje, Zochna, zsunąwszy się z kolan ojca, bawiła się około jego krzesła, nie przestając szczebiotać po dziecinnemu. Julcia siedząc przy stole zajęta była pozornie jakąś robótką, ale bezustannie słała wzrok w stronę Lucyana, który usunąwszy się pod okno, stał z czołem opartem o szybę przesuwając machinalnie w palcach breloczek przy dewizce od zegarka.

Lekcja Stasiowi poszła bardzo dobrze; było to zresztą do spodziewania po tym roztważnym chłopcu, który w ogóle zanim coś odpowiedział, zwykł był zawsze zastanowić się i pomyśleć.

Uradowany Staś pochwała ojca, z rozjaśnioną twarzą powstał od lekcji, pocałował w rękę pana Rodowskiego i zaczął starannie zbierać kajeta, tabliczkę, pióra i szyfer, aby je pochować do stolika.

— Czy bardzo jesteś zmęczony drogą? zapytał pan Rodowski, zwracając się do starszego syna.

— Luciu! ojciec do ciebie mówi, szepnęła Julcia zwracając się do brata, który tak był zatopiony w myślach iż nie słyszał tego zapytania.

Lucyan drgnął wyrwany z zadumy.

— Ojciec mnie o co pytał? przemówił.

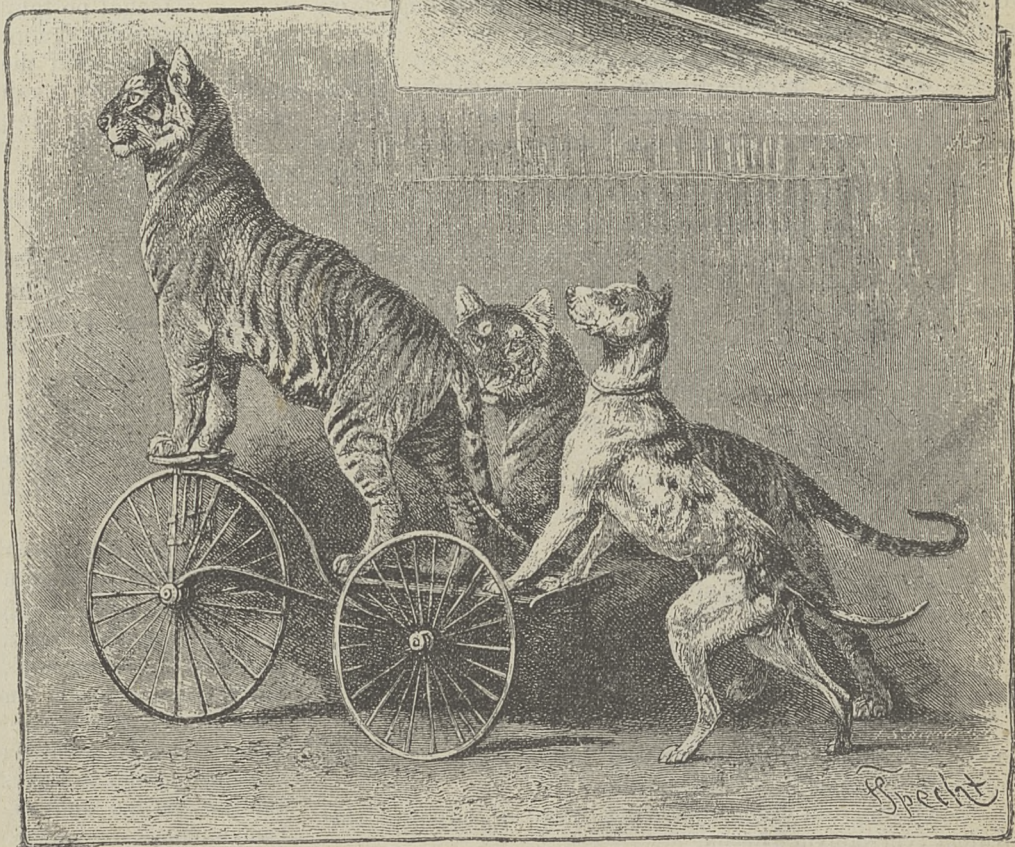
— Tak, pytam: czy cię bardzo utrudziła droga?

— Nie... to jest... trochę.

Więc, gdy wypoczniesz, przyjdiesz do mego pokoju; mam z tobą do pomówienia, wyrzekł poważnie pan Rodowski.

— Owszem, służę ojcu. odpowiedział Lucyan, postępując za panem Rodowskim.

Obaj udali się na drugą stronę, gdzie była sypialnia



Tyгрысы в цирку.

i gabinet do pracy pana Rodowskiego. Co mówili z sobą, pozostało na zawsze tajemnicą, ale rozmowa między ojcem a synem przeciągnęła się bardzo długo, następnie pan Rodowski wyszedł ze swego pokoju, tak samo jak był poprzednio spokojny, poważny i smutny, ale wyszedł bez Lucyana kazał podać konia i wyjechał w pole.

Gdy Julcia, która zajęła się podwieczorkiem dla dzieci, składającym się z mleka i chleba, po ułatwieniu się ze swo-

Jem zajęciem, weszła do gabinetu ojca, ujrzała Lucyana siedzącego bez ruchu, z twarzą ukrytą w dłoniach, a postać jego wyrażała wielkie zękanie. Podbiegła do niego i chwyciła go za ręce.

— Czy ojciec tak bardzo rozgniewał się na ciebie, Luciu? zawołała z przerażeniem w głosie.

Lucyan podniósł na nią wzrok zmaczony, był bardzo błądy i bardzo zękanym.

— Ojciec! wybuchnął z goryczą. ojciec niema dla mnie w sercu ani iskry przywiązania, ani trochę uczucia, nie.

— Luciu!

— Wierzaj, że tak jest. O! tego, com z ust jego usłyszał, nie zapomnę nigdy, nigdy do samej śmierci, nie zapomnę sam dla siebie i nie zapomnę tych słów... ojc.

— Ach! Luciu, zawołała dziewczę z boleścią, jak ty możesz tak mówić? Czy ty naprawdę wierzysz, że ojciec jest niesprawiedliwy? Tak nie jest mylisz się, a przytem gdybyś wiedział jak bardzo cierpiał gdy się dowiedział... o wszystkim... Gdybyś go był widział wtedy, nie mówiłbyś tak z pewnością.

Ale gwałtowna natura Lucyana nie dała się powściągnąć słowami Julci, jak każdy winny starał się wyszukać tyjące okoliczności, które, jeżeli nie usprawiedliwiły zupełnie w sumieniu własnym, to przynajmniej większą część swej winy zważył na innych, na otoczenie, przykład, namowy kolegów. Surowe choć sprawiedliwe słowa ojca przyprawiły go o rozpacz i upokorzenie, skutkiem czego rozdrażniony do wysokiego stopnia, burzył się i miotał bezsilnie.

— Ah! pocom ja tu przyjechał, zawołał gwałtownie. Wołałbym się w tej chwili znajdować na końcu świata, niż być tu, aby usłyszeć to, co ja usłyszałem, i to od kogo? od ojca?

Julcia z trudnością łyż powstrzymywała.

— Ja wiem, ja czuję to sam, że jestem winny, mówił jakby łagodniej Lucyan, ale ojciec sądzi mnie z tak bezwzględna surowością, jakbym był wyrzutkiem społeczeństwa, to niesprawiedliwie.

Teraz Julcia znalazła w sobie taką odwagę i wymowę, jakiej się sama po sobie nie spodziewała.

— Mylisz się Luciu! pomawiając ojca o niesprawiedliwość, zawołała głosem drżącym, ale pełnym przekonania. Ach Boże! niema na świecie chyba człowieka sprawiedliwszego niż ojciec; wierz mi, że tak jest, tylko widzisz ojciec jest bardzo prawy i bardzo wytrwały w swych zasadach i chciałby w nas wszystkich widzieć to tylko, co najlepsze, więc... więc dla tego wydaje się, że jest taki surowy.

Lucyan potrząsnął głową.

— Gdyby ojciec miał dla mnie choć trochę serca, byłby innym dla mnie, powtarzał z goryczą. Po chwili chwycił się oburącz za głowę.

— Ach! głowa mi pęka z bólu, zawołał. Moja Julciu, czy niema dla mnie jakiego spokojnego kąta, gdziebym mógł wypocząć?

— Owszem odrzekła z wielkim smutkiem Julcia, masz dla siebie pokój przygotowany; już tam są twoje rzeczy złożone.

— Dziękuję. A czy to pokój nie przechodni? Czy będę mógł być sam? Czy dzieci się tam nie będą kręcić? pytał Lucyan nie przestając ścisnąć skroni.

— O! nie, nikt ci nie będzie przeszkadzał, odpowiedziała Julcia tym samym głosem.

Ale Lucyan tak był pochłonięty swemi własnymi uczuciami, iż nie zważał ani na smutek siostry, ani na przykrość, jaką jej sprawił swemi słowami; udał się za nią do swego pokoju, a gdy się Julcia oddalała, usłyszała zgrzyt klucza obracanego w zamku.

Nigdy chyba jeszcze nie było Julci tak ciężko na sercu, jak kiedy wychodziła z pokoju brata. Słowa jego: że wołałby się znajdować na końcu świata niż w domu ojcowskim, kamieniem spadły jej na serce. Czy to tak być powinno? Czyż dom nie powinien być dla każdego z członków rodziny najmilszym miejscem pobytu, do którego każdy dąży z utę-

sknieniem i radością. A Lucyan? mój Boże! dla niego dom ojcowski był tak bardzo, tak bardzo niemiłym... i nie... nie nie przywiązywało go do niego. Gdyby mama żyła, wszystko byłoby inaczej; mama umiałaby z pewnością wszystko załagodzić, rozbroić słuszny gniew ojca na Lucyana, jego, Lucyana żał do ojca ukoić, obudzić w jego sercu tkliwe uczucia i w domu byłoby tak, jak za życia mamy: miło, wesoło, szczęśliwie. Łzy zaczęły spływać z oczu Julci; przyłożywszy chustkę do oczu cicho płakała.

Tymczasem żółna słońce miało się ku zachodowi; nadeszła pora, o której ojciec powracał do domu, Julcia zajęła się przygotowaniem herbaty.

Lucyan nie wychodził ze swego pokoju.

Gdy za powrotem pana Rodowskiego podano na stół samowar, Julcia podeszła do drzwi pokoju brata i widząc je zamknięte, zapukała lekko.

— Co tam? odezwał się głos wewnątrz.

— Herbata gotowa, odpowiedziała Julcia.

— Proszę mi przysłać tutaj szklankę herbaty i nie więcej, dał się słyszeć głos Lucyana.

Julcia odeszła cicho i wróciła do pokoju jadalnego, gdzie ojciec siedząc przy stole zastawionym skromnymi przyborami do herbaty, pogrążony był w czytaniu gazety, a teraz podniósł oczy na wchodzącą córkę.

— Lucyan nie przyjdzie na herbatę, rzekła Julcia

— Mniejsza o to, powiedział obojętnie na pozór pan Rodowski i wrócił znow do swojej gazety.

— Prosił, żeby mu przysłać herbatę do jego pokoju; narzekał na silny ból głowy, mówiła dalej.

Pan Rodowski nie odwracał oczu od gazety.

— Jechał po takim upale dwie doby przeszło, skutkiem tego musiał sobie przepalić głowę, podjęła znow Julcia.

Pan Rodowski nie przestawał czytać. Julcia stłumiła ciche westchnienie i zajęła się rozlewaniem herbaty, poczem udała się powtórnie do pokoju brata i zapukała do drzwi.

— Czego tam? zawołał głos Lucyana niecierpliwie, szorstko prawie.

— Przynoszę ci herbatę Luciu! odezwała się łagodnie Julcia.

Klucz szybko przekrecony został w zamku.

— A to ty Julciu. Przepraszam cię bardzo, nie wiedziałem, że to ty, zawołał Lucyan. Ale po co się sama trudzisz, mogłaś mi przesać herbatę przez służącą.

— Cóż to za trud, odrzekła ze słodkim uśmiechem.

— Dziękuję ci mówił Lucyan, odbierając od niej szklankę. Jakaś ty dobra, Luciu, powiedział ciepłej jakoś.

Ona uśmiechnęła się tylko.

— O! nie. Czy bardzo boli cię głowa, Luciu zapytała troskliwie.

— Boli ciągle, odrzekł Lucyan, strasznie tu duszne powietrze; te klitki takie niskie.

Julcia wybrała dla brata najobszerniejszy pokój, aby mu było wygodnie, narzekanie jego na panujące tutaj duszne powietrze i wyrażenie „klitki” przywiodło jej myśl, wbrew intencji Lucyana, iż jemu, przyzwyczajonemu do obszernych i wygodnych apartamentów, nieznosnie jest tutaj. A przecież ona z taką troskliwością urządzała ten pokój dla brata, zdawało jej się, że tu jest ładnie i miło. Więc zrobiło jej się smutno, bardzo smutno, ale nie zdradziła się z tem przed Lucyanem.

III.

Było to na trzeci dzień po przybyciu Lucyana. Ośmioletni Staś, który miał zwyczaj zwierzać się ze wszystkim swojej starszej siostrzyczce, rzekł do niej po niej jakimś namyśle.

— Wiesz Julciu co? Ja nie lubię wcale tego Lucyana.

— Co ty mówisz Stasiu! zawołała z żywą niespokojnością Julcia. Nie powinienes się tak wyrażać o starszym bracie.

— A dla czego nie powinienem? Przecież ojciec każe, żebym zawsze mówił prawdę.

— Tak, ale nie lubić brata, to jest takie same złe, jak kłamać, widzisz Stasiu, więc powinieneś starać się zwyciężyć to złe uczucie i kochać Lucyana.

— Kiedy on nie jest wcale dobry, ten Lucyan.

— Cóż ci zrobił złego?

— Widzi Julcia tak było. Ja robiłem wózek dla Zosi więc musiałem zbić gwoździkami deseczki, bo przecież jakżeby się inaczej trzymały? Ale kiedy zacząłem bić młotkiem, Lucyan roztworzył drzwi od swego pokoju i ofuknął mnie z gniewem, że hałasuję. A kiedy znów później zaczął przybijać te same deseczki, powiedział, że mnie za drzwi wyrzuci, jak nie przestanę.

— A ty możesz mu odpowiedzieć niegrzecznie?

— Ja rozgniewałem się i powiedziałem mu, że skoro ojciec pozwala mi prowadzić moją fabrykę, to on niema prawa wyrzucać mnie za drzwi.

— Widzisz Stasieczku Lucyana bolała głowa, a przy bólu głowy każdy hałas staje się nieznośny. Pamiętasz? jakżeś przeszłego roku chorował na odrę i główka cię bolała, jak to wszyscy chodziliśmy około ciebie na palcach, a jak Marysia upuściła łyżeczkę na podłogę, to ci to taką przykrość zrobiło, żeś się rozplakał. Więc widzisz i z Luciem jest tak samo, i nie powinieneś się na niego gniewać.

— Dobrze proszę Julci, to gdzież ja rozłożę moją fabrykę?

— Przenieś się do jadalnego pokoju.

— A kiedy ja mam w tamtym pokoju porozkładane wszystko, sznurki i gwoździe i wszystkie narzędzia.

— To chodź, przeniesiemy to wszystko we dwoje

— Nie, już ja sam przeniosę, ja nie chcę, żeby się Julcia trudziła.

— Więc ty Julcię lubisz, prawda?

— Ja Julcię bardzo Kocham.

— To uściskaj Julcię, tak, obiema rękami, a teraz przyrzecz Julci, jak ją kochasz, że będziesz się starał pokochać Lucia i będziesz mu we wszystkim posłuszny i nie nie zrobisz, choć z własną przykrością, coby go mogło rozgniewać. Przyrzeczesz to Julci?

— Skoro Julcia tak chce, to przyrzekam, odrzekł chłopiec.

Ucałowany i zachęcony przez siostrzyczkę, poszedł do dziecinnego pokoju i niedługo przeniósł całą swoją „fabrykę” pod okno do jadalni. Lucyan wchodząc tu przed obiadem, zastał go, jak siedząc na ziemi, dopasowywał dwa drążki do siebie, z których miały być osie do projektowanego wózka. Zbliżył się do niego i przemówił na pół żartem:

— Cóż? będziesz mi znów kuł dzisiaj przez cały dzień nad głową, ty, mechaniku jakiś!

— Niech się Lucyan nie obawia, już nie będę więcej stukał Lucyanowi, bo tutaj się przeniosłem.

— A dla czegoż to tutaj się przeniosłeś.

— Żeby Lucyanowi nie robić przykrości.

Półuśmiesznie przemknął po ustach Lucyana.

— Taki to dobry chłopiec z ciebie? A ja myślałem, że się ty gniewasz na mnie.

Staś potrząsnął głową.

— Jabył się na Lucyana już teraz nigdy nie rozgniewał.

Brat starszy popatrzył na niego z uśmiechem.

— Teraz to nie, a poprzednio gniewałeś się?

— Poprzednio to co innego, a teraz co innego szepnął Staś.

— Dla czegoż to poprzednio co innego, a teraz co innego? pytał Lucyan.

— A bo widzi Lucyan mnie Julcia wytłómaczyła, że ja nie powinienem się gniewać na Lucyana, ale słuchać go we wszystkim, tak jak słucham ojca.

(d. c. n.)

CUDOWNA WYSPA

Najnowsza powieść Juliusza Verne'a

przekład M. D.

(Ciąg dalszy).

Jeżeli wielu bogatszych Taitanów przyjęło strój europejski, można widzieć i takich, którzy pozostali wiernymi barwnej tunice „paero” zwanej, drapującej się pięknie od pasa poniżej kolan i ślicznemu zawojowi „hei” którym otaczają głowy zarówno mężczyźni jak kobiety, zdobiąc je zielenią i kwiatami.

A roślinność tutejsza bujna i urozmaicona jak nigdzie, równa się cudom bajek „Tysiąca i jednej nocy.”

Omijając uprawne pola pod ryż, trzcinę cukrową, bananową, tytoń, drzewa kawowe i inne produkta handlu i przemysłu, paryżanie zapuszczają się w gęstwiny leśne pod cień drzew cytrynowych, pomarańczowych, różnorodnych palm, bananów, drzew różanych „miro” zwanych, drzew santalowych, „kazuarina”, albo żelaznych, mangolii, tacea, wreszcie o wyniosłym, jak biały atlas gładkim, pniu drzew chlebowych, zwanych przez krajowców „tero”. U stóp tych olbrzymów ścielą się różne trawy i krzewy wzbudzając niemniejszy podziw w turystach, bogactwem odmian oraz wspaniałością kwiecica i owoców.

Jeżeli jednak przyroda nie poskąpiła darów swych ze świata roślinnego, świat zwierzęcy, jak zresztą na całej Oceanii, bardzo słabo jest reprezentowanym.

Jedynym dziko żyjącym tu kręgowcem, jest gatunek świni nieco mniejszej od znanego u nas dzika; importowane jednak przez osadników zwierzęta domowe, zaaklimatyzowały się na wyspach z łatwością wielką. Liczne też spotkać można stada kóz, owiec i bydła rogatego, a koń oddaje wielkie usługi w uprawie roli.

Brak tu jest zupełny gadów i niewielkie bogactwo w świecie skrzydlatym, owady jedynie, a szczególnie dokuczliwe „mustiki” nie pozwalają zapomnieć o sobie, i nieliczącemu się z ich żądlem przybyszowi, straszliwie dokuczyć mogą, zwłaszcza nocną porą.

Nie żałując czasu, nie oglądając się na nikogo Kwartet francuski, ze swobodą ucznia na wakacjach, przedziera się przez gęstwiny i zarośla i niezmordowany dociera aż do wąskiego przesmyku, który łączy Taiti z małym półwyspem Ta-baratu.

W znajdującym się tu porcie „Phaeton” przyjeści są z zapalem przez marynarzy francuskich, którzy uszczęśliwieni spotkaniem współziomków z Cudownej wyspy, zapraszają ich do suto zastawionego stołu w restauracji utrzymywanej również przez francuskiego kolonistę, gdzie obok potraw mięsnych, zjadają oryginalnie przyprawione owoce bananów „fei” zwane, soczyste „ignamy” oraz „tajero” rodzaj konfitury z utartego orzecha kokosowego, mającej orzeźwiający, kwaszyski smak.

Odwdzięczając się za gościnność swych współbraci. Francolin kazał oberżyscie podać kilka butelek wina francuskiego. Przy brzęku szkła, w obłokach dymu cygaretek tytoniowych owiniętych liściem pandanusa, które obyczajem miejscowym podawane są z ust do ust, ucztą urozmaiconą ożywną rozmową przeciąga się aż do wieczora.

Odpočawszy nieco po tej wycieczce, artyści postanowili dnia jednego, ze śmiałością najwprawniejszego turysty, dotrzeć, aż na sam wierzchołek góry Wenus, skądby mogli pojąć dokładne pojęcie o ogólnym położeniu Taiti,

Wycieczka ta, tem więcej przedstawia im powabę, że po drodze wstąpić mogą do miłego im zawsze domu państwa Coverley'ów, którym obiecali swą wizytę:

Kierując się drogą wiodącą z wioski Taherihio do latarni morskiej, po drugiej stronie wyspy, Kwartet przechodzi jedną z najpiękniejszych okolic, jakie gdziekolwiek spotkać można. Na tle rysujących się w dali skał i gór wysokich, wśród szmaragdowych łąk i ciemnej zieleni lasów, toczą swe wody liczne strumienie górskie dopływające do Tatakua, największej rzeki Taiti która tworzy w pobliżu wspaniałą, na 75 metrów głęboki, wodospad.

W uroczej tej miejscowości, w pobliżu pięknej willi Coverley'ów spotykają artyści najniespodziewaniej młodego Waltera galopującego konno.

— Czyżby wdzięk przyrody pociągnął go aż tutaj? — rzekł niedomyślny niby Ponchard.

— Któż to odgadnąć zdoła, — odpowiedział obojętnie, mało zajmujący się plotkami Francolin.

Tymczasem zbliżywszy się do idących, jeźdźcie zatrzymał konia, uchylił kapelusza i zapytał czy zamysłają dziś jeszcze wrócić do Pepeete.

— Nie panie Tankerdon, — odpowiedział Francolin, otrzymaliśmy zaproszenie od pani Coverley, prawdopodobnie więc przepędzimy tam wieczór cały.

— W takim razie, do widzenia, — rzekł ścigając konia ostrogami i popędził dalej.

— Eeh, ech, coś mi się zdaje, że nasz przyjaciel Munbar ma dużo daru przewidywania wypadków; czy uważaliście, że jakiś cień smutku przysłonił, zwykle pogodne oblicze młodzieńca, odezwał się znowu Ponchard.

— Byłby to jeden dowód więcej, że nawet miliardy nie zdolne są zapewnić szczęścia, — odezwał się poważnie Yvernes.

Powitany przyjacielsko przez rodzinę Coverley'ów Kwartet, spędza w jej miłym towarzystwie resztę dnia i wieczór cały urozmaïcony piękną grą na fortepianie pani domu, oraz miłym śpiewem miss Diany, której towarzyszy sympatyczny tenor Yvernesa.

Złośliwy jednak Ponchard nie może się powstrzymać, ażeby od niechcenia nie rzucić słówka o spotkaniu Waltera. Wzmianka ta wywołuje na usta dziewczęcia przelotny uśmiech zadowolenia, pochwycony w lot przez baczne oko „Jego ex-celencyi”, jako jeden z dowodów domyślności Kalikstusa. W śpiewanych następnie duetach, głos miss Dyany przybrał głębsze, jakby serdeczniejsze tony, co nie uszło zapewne uwagi bacznych na wszystko rodziców, gdyż ojciec chmurnie zmarszczył brwi, podczas gdy matka zapytała ją troskliwie, czy nie czuje się już zmęczoną.

W miłym i wesołym kółku, wieczór upłynął tak szybko, że ani się spostrzegli, gdy uderzyła północ wzywając do spoczynku.

Nazajutrz wczesnym rankiem wybrał się kwartet na szczyt góry Wenus. Możliwa ta nadzwyczaj podróż, oplaciła się jednak ciekawym turystom, gdy ujrzeli tę cudną ziemię, rozkładającą się u ich stóp w kształcie żołnierskiej manierki, jak zauważył Ponchard, dodając zaraz, iż taką buteleczkę przyjąłby chętnie w darze najpotężniejszy monarcha świata.

Z powrotem do Papeete zajęła Kwartet nowa niespodzianka i cały szereg przyjemności z powodu przybycia do portu okrętów eskadry francuskiej, której oficerowie i sam admi-

rał okazywali żywą sympatię dla Cudownej wyspy. Zebraniom i balom nie było końca, a w rozbawionem tem towarzystwie biorą stale udział, Kalikstus Munbar powziął myśl genialną, która przedstawiona prezydentowi Miliard-City została w zupełności przyjętą i potwierdzoną przez walne zebranie w stolicy.

I w rzeczy samej, dla czegożby mieszkańcy Standard-Island nie mieli pożegnać swych przyjaciół balem tak świetnym na jaki tylko miliardy zdobyć się mogą?

Lecz że czas upływa bardzo szybko, gdy się go przyjemnie spędza, przeto nie wiele już dni pozostaje pływającej wyście przed wyruszeniem w dalszą podróż, należy więc energicznie wzięść się do dzieła.

Oprócz tysięcy drukowanych zaproszeń, rozesłanych kolonistom francuskim i znakomitszym rodzinom taitańskim, Cyrus Bikerstaf pospieszył osobiście przedstawić swą prośbę dostojnej królowej Pomare, która łaskawie zgodziła się zaszczyścić obecnością swoją i swego dworu projektowaną zabawę. Również przychylną była odpowiedź generał-gubernatora i innych dostojników Taiti. Czyniąc zadość formom i aby nie uchybić nikomu, rozesłano również zaproszenia samymżo mieszkańcom Miliard-City, nie pomijając naturalnie i tych, którzy zostawali na wilegiaturze; zresztą czas im już wrócić na stałe do swoich siedzib, niezwłocznie bowiem po balu, Cudowna wyspa opuści Taitę.

Dział artystyczny i program zabawy poruczony został naturalnie Kalikstusowi Munbar, który ruchliwy zwykle, rozwinął teraz cały zasób wrodzonego sobie w tym kierunku talentu, przysposabiając różne niespodzianki, dozorując wszystkiego osobiście.

Jakkolwiek obszerne są sale Casina, nie pomieściłyby jednak tak znacznej liczby spodziewanych gości, to też tylko dla najdostojniejszych obliczono nakrycia przy stole jadalnym i krzesła w balowej sali, urządzając dla reszty towarzystwa zabawę w parku, czyli tak zwany: „bal-champêtre”.

Z powiedzy zaproszonych jedni tylko królestwo Malekarii odmowną dali odpowiedź, tłumacząc się istotną niemożebnością brania udziału w tak świetnem zebraniu.

— Biedni monarchowie! — westchnął ze współczuciem pocziwy Yvernes.

Z nadejściem dnia uroczystości Standard-Island strojna we flagi miejscowe, francuskie i taitańskie przedstawiała widok piękny i świąteczny.

Przybyła do Tribor-Harbour królowa Pomare i jej orszak w pięknych kostiumach galowych, wita zebrana starszyzna miasta przy huku dział i głośnych okrzykach ludności: Niech żyje! Na sygnał ten odpowiadają, jakby w przyjaznej zamianie słów, armaty Pepeete i stojącej w porcie eskadry.

Zwiedzwszy znaczniejsze budynki Miliard-City i objechawszy dokoła brzegi wyspy, dostojni goście wstępują do gmachu ratusza po wschodach przybranych tak kosztownie, że pewno dorównują wspaniałości, jaką zaimponował światu w swoim czasie Wanderbild w Nowym Yorku, gdzie każdy stopień wiodący do jego pałacu, szacowany był na tysiące franków.

(d. c. n.).

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: O ciesz się dziewczę, wiersz przez M. D. (z drzew.). — Osy, przez A. M. — W pustyniach Australii, przez Władysława Umińskiego. — Pogromcy dzikich zwierząt (z drzew.). — Syn marnotrawny, powieść p. E. Jerlicza. — Cudowna wyspa, najnowsza powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. — **Dodatek:** Siódma córeczka, wiersz przez Nagodę (z drzew.). — Zawiedzione nadzieje, komedyjka przez N...kę. — Dzielný Julek, p. Marzaunę. — Szarady, łamigłówki i rozwiązania — Skrzynka do listów. —

Dodatek książkowy: Na dworze landgrafów Turynii, opowiadanie Teresy Jadwigi.

Redaktorka **Ludwika Hauke.** Доводено Ценаурою, Варшава 31 Іюля 1895 г. Wydawczyni **Marya z Chomętowskich Balińska.**

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

WIECZORY RODZINNE

ZAWIEDZIONE NADZIEJE.

komedyjka w jednej odsłonie,
przypisana *Wahndzi z nad Warty.*

OSOBY:

Kazia
Janka } rodzeństwo.
Henio }
Panna Zenobia.
Antosia, pokojówka.

SCENA I.

Scena przedstawia pokój do nauki. Na środku stół zarzucony kajetami, przy nim Henio z książką w ręku.

Henio (*rzuci książkę i załamuje ręce*). O smutny mój losie!... Od rana do wieczora każą się uczyć!... I na co mi ta nauka?... Przecież profesorem nie będę; o! nigdy w życiu! Nie mam do tego wcale powołania. Zygmunt mi powiedział, że mam niepospolity talent dramatyczny; on się zna przecież na tem... Mieszka w Warszawie, bywa często w teatrze... O! tak, on ma rację; ja czuję w sobie tę iskrę Bożą, która talentem się zowie. Lecz nie tylko na artystę dramatycznego mam powołanie, jestem przytem poetą! Gdybym wiersze moje wydał w druku, dziś jeszcze zasłynąłbym na całym świecie. Któż potrafi wznioślejszy wiersz napisać jak ten naprzykład, Sam tytuł jest już zachwycający: „Wśród nocy letniej...” czyż może być wiersz lepiej zatytułowany? Lecz tytuł jest niczem w obec samego wiersza! Ile tam poezyi! ile uczucia! co za rym śliczny! Naprzykład w tym ustępie: (*staje na środku sceny i deklamuje z przesadą*)

Słowik wśród drzew,
Nuci swój śpiew;
W głębinie wód
Gra żabi ród,
A z po nad gór,
Księżyc wśród chmur
Wychyla się
I wita mię,
A wszędzie tu
Zapachy bu.

No, czyż nie śliczny wierszyk?... O ja mam niepospolity talent. Tylko, że mi go zabijają, każąc cały dzień siedzieć nad nudną geografią lub gramatyką. Ja przecież powinienem inaczej żyć, potrzebuję wrażeń, potrzebuję widoku natury, żeby wyobraźnia moja więcej się rozwijała. I gdzież to wszystko znaleźć mogę? przecież nie tu w pokoju, siedząc nad książką! Żeby jeszcze ta nauka na co się przydała! Ale gdzie tam, to czas zmar-

SIÓDMA CÓRECZKA.

Przyjechała ciocia z miasta
I przywiozła nam laleczkę.
Oj jak będziem kochać, pieścić
Tę najmłodszą swą córeczkę.

Siódma z rzędu, ale przecie
Dobrego nigdy za wiele,
Więc na spacer ją prowadzim,
W siódmy dzień, w każdą niedzielę.

Ani pracy, ani trudów
Nie skąpimy dla swej dziatwy,
Zresztą chować takie dzieci
Obowiązek to dość łatwy.

Nasze córki jedna w drugą,
Hoże, zdrowe i rumiane —
A co wiele także znaczy,
Bez zarzutu wychowane.

A gdy dotąd ze wszystkiemi
Tak nam słodko życie płynie,
Cóż dziwnego, żeśmy rade
I najmłodszej tej dziecinie.

Nagoda.

nowany! Ja księdzem nie będę, ani doktorem, ani inżynierem, ani profesorem, tylko artystą dramatycznym i poetą. Mówią mi, że i do tego potrzeba dużo umieć... O! nie tak łatwo mię zwiódą, ja temu nie wierzę. Poeta powinien umieć tylko pisać, a artysta tylko czytać; ja dzisiaj już dość nauki posiadam i uważam, że na tem mogę porzucić, więcej mi już nie potrzeba. Wkrótce wstąpię do teatru, będę występować w rolach dramatycznych i zarazem będę pisał dramata i tragedye. Tak! będę sławnym!

SCENA II.

(*wchodzi Kazia, prowadząc Jankę*).

Kazia. Moja Janko, proszę tu siedzieć i uczyć się lekcji, gdy się nauczysz, możesz pobiegać po ogrodzie, a tymczasem zajmij się szczerze lekcją, przecież nie tak wiele ci zadałam.

Janka (*krzywiąc się*). Ja nie mogę się nauczyć; te słówka francuzkie takie trudne, nie mogę spamiętać...

Kazia. To naucz się mniej, a dobrze. Moja Janeczko, przecież ty nie dla mnie się uczysz, lecz dla swego dobra. Za rok będziesz zdawać egzamin do pierwszej klasy; cóż to będzie za wstyd, gdy nie zdasz nawet do wstępnej, bardzo to jest nawet możebne, bo tak mało jeszcze umiesz.

Janka. Tyle umiem, co i Henio.

Kazia. Ja też Henia nie chwale wcale. Chociaż w jednym jesteście wieku, on jako chłopiec powinien umieć więcej od ciebie. Nie radzę ci z niego brać przykładu. Usłuchaj mnie Janeczko i zajmij się szczerze nauką, zawstydz braciszka swoją pilnością. Na przyszły rok, gdy będziecie zdawać egzamin, ty zdasz do pierwszej klasy, a on, jeśli się nie poprawi, to wątpię czy będzie przyjętym do wstępnej. Jakież to będzie wstyd dla dla niego! wstyd wielki... Tylko Janko proszę być pilniejszą, niż dotąd.

Henio. Moja Kaziu, myślisz, że ja sobie co robię z twego gadania. Otóż, nic mi to nie obchodzi, czy zdam, czy nie zdam, bo ja nie pojadę do szkół wcale.

Kazia. Doprawdy?... Nie wiedziałam, że cię pytać będą, czy zechcesz...

Henio. Ja nie potrzebuję się uczyć, ja wstępuję do teatru, będę artystą i poetą. Ciesz się, będziesz miała sławnego brata.

Kazia. O! raczej smucić się muszę, nie cieszyć. To wcale nie wesołe, że ty nie pojmujesz wartości nauki. Wierz mi, że bez niej nie będziesz artystą, a tembardziej poetą. Poeta więcej jeszcze potrzebuje się uczyć, niż zwykli ludzie. Ale ty sobie wybij z głowy te niedorzeczne marzenia, nie bądź tak zarozumiałym, nie myśl, że to tak łatwo otrzymać miano poety lub artysty.

Janka. Ach Kaziu, on napisał takie śliczne wiersze, przeczytał mi je i powiedział, że gdyby kazał wydrukować, toby go ukoronowali wieniec laurowym i zasłynąłby zaraz jako sławny poeta.

Kazia. Ukoronowaliby go, ale chyba ośłą czapkę, a zasłynąłby, jako nieuk, próżniak i zarozumialec, wierz mi Janko, że innych tytułów by nie otrzymał.

Henio (*z oburzeniem*). Dziwię się, jak możesz taki sąd wydawać, nie czytając moich wierszy.

Kazia. Czytałam je, czytałam! Na wszystkich kasetach przecież są popisanie... osądziłam, że nie nie warte. Radzę ci, naucz się lepiej gramatyki, żebyś nie robił tyle błędów; w całych wierszach, cztery wyrazy są tylko dobrze napisane, a reszta źle. (*Bierze kajet ze stołu i pokazuje Heniowi*). O, patrz, podkreśliłam ci każdy błąd. Śliczny mi poeta, co nie umie pisać ortograficznie!

Henio (*odsuwa kajet*). Tu błędy nie nie znaczą w obec formy wiersza, a wiem, że jest ona doskonałą. Jeden Zygmunt umiałby się poznać na tem.

Kazia. Ach! przecież raz trafnie powiedziałeś, bo i ja powtórzę to samo, że tylko taki mądry Zygmunt może się poznać na twoich poezjach, z pewnością nikt więcej. Nieszczęście prawdziwe, że ten chłopiec był tu przez całe wakacje i tak przewrócił ci w głowie. Ale przestańmy lepiej już mówić o tem, bo czas upływa, a wy się nie uczycie. Proszę więc siedzieć cicho i spokojnie i proszę szczerze wziąć się do książki. W tych dniach, albo dzisiaj jeszcze, przyjedzie nauczycielka, z pewnością będzie się dziwić, że tak mało umiecie. A może ty Heniu nauczyłeś się już lekcji, bo tak dawno tu siedzisz?

Henio. Jeszcze nie umiem.

Kazia. To może zadanie arytmetyczne zrobiłeś?

Henio. Jeszcze nie zacząłem nawet.

Kazia. W takim razie, zamiast się uczyć, z pewnością znowu urządzałeś przedstawienia dramatyczne!... Moja Janeczko, pilnuj tu Henia, żeby się uczył (*wychodzi*).

SCENA III.

Janka (*bierze książkę*). Najpierw nauczę się słówek francuskich, bo tego najwięcej nie lubię.

Henio. I ty naprawdę myślisz się uczyć?

Janka. Nieinaczej, Kazia prosiła...

Henio. Wielkie rzeczy, że Kazia prosiła; ja tam ani myślę się uczyć. Teraz są jeszcze święta, przecież Kazia dopiero za tydzień odjeżdża na pensję.

Janka. Ale Kazia uczy się też teraz; pokazywała mi, jak ma dużo zadane.

Henio. Co mi tam! Ja sobie teraz urządzam wakacje do przyjazdu nauczycielki. Żebyś była mądrą, zrobiłabyś tak samo.

Janka. Nie można Heniu, nie można, lepiej weź się do zadania arytmetycznego i mnie też nie przeszkadzaj. (*Uczy się z zajęciem, Henio siedzi rozpurty i bębni palcami po stole*).

Henio. Janko!

Janka. Czego chcesz odemnie?

Henio. Do czego ty masz talent?

Janka. Ja nie wiem, pewno do niczego.

Henio. To być nie może, jesteś moją siostrą, więc musisz posiadać jaki talent. Pomyśl tylko dobrze, jakie zajęcie lubisz najbardziej?

Janka. Najwięcej lubię szyc sukienki dla lalek.

Henio. Fe, przecież szwaczką być nie możesz, ja na to nie pozwolę, ty musisz być także artystką. Powiedz co wybierasz: muzykę, śpiew, deklamację, rysunki?...

(*d. n.*).

Dzielny Julek

przez

Marzannę.

(Ciąg dalszy).

OMYŁKA.

Kazio wrócił do domu bardzo późno wieczorem, kiedy już młodsze dzieci szły spać.

Pani Żeliborska była o niego niespokojną, zwłaszcza że się spodziewała, iż Kazio zechce się dowiedzieć jaki był wynik jej wycieczki do miasta.

Nareszcie, kiedy wrócił był bardzo czerwony, oczy miał zapuchnięte i unikał jej wzroku.

— Gdzieś był Kaziu? zapytała go.

— Byłem u pana Wolińskiego, do którego nosiłem list od naszego nauczyciela.

— Byłeś tam cały czas.

— Tak.

— Jakże to Kaziu? Zapomniałeś chyba, że jest już bardzo późno?

— Pan Woliński mnie zatrzymał.

— Czy ci dał herbaty?

— Tak, to jest właściwie nie... nie chciało mi się jeść. Jakżeż się cioci udało?

— Bardzo źle. Wszystkie nasze pieniądze przepały. Ale innym jest jeszcze gorzej. O Kaziu! co za smutny widok tych ludzi, którzy stali tłumnie przed zamkniętym bankiem,

— Mama zemdląła, rzekł Julek, ja chciałem ją podtrzymać, ale kij mi się poślizgnął i także upadłem.

— Szkoda, że ciocia mnie nie wzięła, rzekł Kazio, ale nagle urwał.

— Julek był mi wielką pomocą u adwokata, przypominał mi nawet wiele rzeczy, o które miałam zapytać. Poczciwy chłopiec.

— Widzisz, rzekł Julek skromnie, kiedyśmy jechali mama powtarzała sobie głośno, o czym ma mówić z adwokatem, a ja mam dobrą pamięć i przynajmniej tem mogłem mamie pomóc.

Pani Żeliborska zapytała znowu Kazia, co go tak długo zatrzymało za domem, ale on był jakiś zmieszany i nie umiał jej jasno odpowiedzieć. Czując się bardzo zmęczoną, kazała chłopcom iść spać i sama odeszła do swego pokoju.

— Biedna mama, rzekł Julek, musimy się bardzo cicho rozbierać żeby jej nie przeszkadzać, bo wiesz że mamy sypialnia jest zaraz pod naszą, słychać wszystko co my tu robimy.

— Tobie się zdaje, że nikt o ciocię nie dba tylko ty, odburknął rozniewany Kazio.

Julek nic nie odpowiedział tylko rozbierał się spokojnie. Słyszał, że mama chodziła po swoim pokoju, chociaż obiecała mu położyć się zaraz. Odmawiał wieczorny pacierz klęcząc przy swoim łóżeczku, gdy usłyszał Kazia płaczącego, prosił więc Boga żeby go pocieszył, jeżeli ma jakie zmartwienie. Potem rozebrał się

położył i już miał zasypiać, gdy Kazio cichutko przyszedł do niego i mówił szeptem: Julku taki jestem nieszczęśliwy! Co ja zrobię, co ja zrobię!

— Co się stało? — zapytał Julek nagle przebudzony.

Ale Kazio powtarzał tylko: Co ja pocznę nieszczęśliwy.

— Nie płacz, — rzekł Julek obejmując go i całując. Mów cicho bo zbudzisz mamę. Cóż ci się wydarzyło.

Kazio uspokoił się troszkę i rzekł przerywanym głosem.

— On mnie chyba dzisiaj zabije!

— Zabije? kto? za co?

— Bo ja mu wygrażałem, nazwałem go złodziejem.

— Kogo nazwałeś złodziejem?

— Pana Wolińskiego.

— Zkąd ci podobna myśl przyszła do głowy?

— Widzisz Julku. Nauczyciel posłał mię do niego z listem. Michaś mówił, bo on wszystko wie, że p. Woliński jest dyrektorem banku. Oddając mu list powiedziałem, że jest nieuczciwym człowiekiem, że zabrał pieniądze cioci, że jest złodziejem. Pan Woliński okropnie poczerwieniał, schwycił mnie za ręce i silnie odepchnął, potem padł na kanapę, ja uciekłem, a on jeszcze wołał za mną: Poczekaj, tego ci nie daruję, zapłacisz mi za te obelgi. Ja wiem, że jak on się rozgniewa to nie przebaczy.

— Dla czegoś zaraz do domu nie wrócił?

— Bo się bałem że mię tu znajdzie. A zresztą czy ja wiem? Najgorzej przecież, że zamiast pomódz biednej cioci jeszcze jej zaszkodziłem, bo pan Woliński rozniewany, tym więcej teraz pieniędzy nie odda.

— Bardzo źle się stało, bardzo źle. Kto wie gdyby dyrektor się postarał, możeby się pieniądze znalazły. Popełniłeś wielki błąd. Możebyś wrócił, przeprosił i wytłomaczył, żeś to mówił w uniesieniu, bo to szło o twoją ciocię?

— Kiedz się boję. Idź ty.

— Dobrze, rzekł Julek wstając powoli, pomóż mi się ubrać, niema czasu do straceni.

— Czy chcesz iść zaraz po ciemku, sam jeden.

— Tak, ale przeprowadź mnie Kaziu przez ogród, bo jeżeliby upadł, to sam nie potrafię wstać i cała rzecz się odwlecze. Julek nie myślał o własnem niebezpieczeństwie, na które się narażał, tylko że nie będzie mógł wykonać polecenia brata, i że nieszczęście może spaść na jego ukochaną matkę.

— Nie, nie pójdę, ja się boję! On mnie z pewnością zabije.

Gdzież się podziała jego odwaga?

WSTAWIENIE SIĘ JULKA.

— Siadaj kawalerze, rzekł pan Woliński łagodnie, do naszego Julka, którego dopiero po długich prośbach służący wpuścił do mieszkania, a chociaż chłopiec był bardzo zmęczony, nie chciał usiąść zanim nie wyjaśni całej sprawy i nie otrzyma przebaczenia dla Kazia, który zasłużył na surową naganą, oskarżając pana Wolińskiego bez żadnej podstawy.

Łamigłówki w kwadracie:

E g e u s z
P **u** z y n a
B e **r** l i n
S i k **o** r a
M a z e **p** a
M a l i n **a**

Łamigłówki kryształowej:

Z
g A d
g a L a r
Z A L E S K I
m a S k a
o K o
I

Zagadek: Jaś — miny. Sto — krocie.

Skrzynka do listów.

Masz słusność *Janku D.* Orion nie jest pojedynczą gwiazdą, lecz jednym z najwspanialszych na naszym niebie gwiazdozbiorów, odznaczającym się zarówno blaskiem jako i liczbą gwiazd. W Europie widzialnym jest w czasie zimowych nocy.

Tereni B. Adres pani J. Chrząszczewskiej jest: Nowy-Świat 21.

Janinka R. słusznie się domyśla, bowiem tylko do 1-go czerwca prenumerata na *Wieczory* wniesioną została, ztąd zwłoka w przesyłce. Zaległe numera obecnie już wysłane.

Jak zawsze i tym razem z prawdziwą przyjemnością odebrałimy łamigłówki ułożone przez *Maniusię z Wierzi* i *Drugoklastę*, a o ile będą odpowiednie umieścimy je, gdy przyjdzie na nie kolej.

Jaskółka zasmuciła się szczerze wiadomością o ciężkiej chorobie jaką przebyła kochana *Zabie oczko*. Dzięki Bogu, że złe już minęło, i że jak się zdaje, dawne powróciło ci zdrowie, kiedy na nowo zabrałaś się do nauki. Sądzę, że odebrałaś już nagrodę; gdy przeczytasz całą książeczkę napisz mi, proszę, jak ci się podobala. Upewniam cię, że jedynie przez pomyłkę, może wskutek niewyraźnego podpisu, zrobiono cię w sprawozdaniu o rok starszą i ufam obietnicy, że dziesięcio już letnie *Żubie oczko* składniejsze będzie umiało stawiać litery.

Gatązkę heliotropu witam przyjaźnie w gronie mych stałych korespondentek. Czyż to Jaskółka tak strasznym jest ptakiem, że dotychczas obawiałaś się porozmawiać z nią trochę? Upodobanie z jakim czytujesz nasze pismo, cieszy mię bardzo; podzielam też w zupełności zdanie twe co do pięknych powieści „*Teresy Jadwigi*”. Biedne dzieci ucieszą się z pewnością z przysyłanych na konkurs sukenek.

NA KOLONIE LETNIE ZŁOŻYLI:

Konwalijka i Myszka z n. Warty rs. 1. M. Z. rs. 2 i bieli-
znę. E. B. rs. 3. Maniusia z Wierzi rs. 1.
Na pogorzalców Koprzywnicy: Zdzisław B. kop. 75. Felicja
W. kop. 50.

ZAGADKI KWIATOWE:

p. Z. Mrozowicką.

I.

Powiedz, że ktoś bez barwy w krosnach nici snuje:
W biel strojna, z Tatrów szczytu nad światem króluje.

II.

Choć krótka nazwa moja, brak znaczy jedynie,
Jak dar miły witają mnie w wiosny godzinie.

CZARODZIEJSKI KWADRAT.

a a a a Skala podwodna.
a a r r Rzeka w Rosyi, wpada do Oceanu spokoj.
r r f f Sprzęt gospodarczy.
u u m s Dopływ rzeki Kur.

ŁAMIGŁÓWKA W KRATKACH.

ułożył Stefan B.

1 W kwadracie o 7-miu przedział-
. 2 kach ułożyć wyrazy, aby litery
. . 3 oznaczone liczbami złożyły nazwę
. . . 4 ogólną ciała kopalnego.
. . . . 5 Znaczenie wyrazów: 1) Wieża,
. 6 z której mużulmanów wzywają do
. 7 modlitwy. 2) Król litewski z XIII
wschodnich w kształcie zakrzywionego noża. 4) Cieśnina
na zachodnim krańcu Szwecyi. 5) Miasto we Włoszech.
6) Dowódca lub owad. 7) Wysoki stopień wojskowy.

Sylaby: mi — min — kin — ka — li — a — ge — na — do —
dzał — te — vor — dmi — ne — ret — we — gat — no — rał — rał.